

Raif Seidel

MIT I TABU: PAMIĘĆ I ZAPOMNIENIE

„Historyczne wyrażanie przeszłości nie oznacza nazywania tego, ‘jak to było naprawdę’ oznacza zawładnięcie wspomnieniem, gdy rozbłyśnie ono w momencie niebezpieczeństwa”.

Walter Benjamin

I.

To zdanie, wyjęte z tez Waltera Benjamina o pojęciu historii, zabranych na śmiertelną ucieczkę, mogłoby nas połączyć. Ale to nie takie proste. Nieproste właśnie dla nas, działających w psychiatrii, na co dzień silnie konfrontowanych z wielokształtem myślenia i zastanawiania się nad tym, co było.

Wiemy, że przeszłe jest zawsze obecne. Wspomnienia szukają nie tylko przygodnie wstępu do naszego Tu i Teraz. Tylko, że przychodzimy zawsze za późno, aby móc uchwycić je w momencie stawania się, w jakimś momencie bezruchu. Z pewnością umiemy podzielić się naszymi wspomnieniami, całkowicie dzielić je jako coś wspólnego, będziemy rzadko. To dotyczy zwłaszcza nas tutaj - Izraelczyków, Polaków, Niemców. Pływamy w zbyt różnych łodziach wspomnień. Bądź co bądź rozpiętość przepłyniętego czasu przyczyniła się do tego, że jesteśmy tu razem. Ten czas nie może *niczego* wybaczyć, nie posiada on żadnych moralnych kompetencji, ale tworzy odległości, potrzebne, aby spotkać się w rozmowie. To, co nas tutaj łączy, to temat – Holocaust – i niebezpieczeństwo, że coś podobnego mogłoby się znów wydarzyć. Nikt z nas już nie postrzega historii jako obliczalnego biegu rzeczy. Historia ukazuje się nam jako zdarzenie nieciągłe, któremu dopiero wspomnienie nadaje *znaczenie*. Z pewnością posiadamy pewien zasób wiadomości o tym, co się zdarzyło. Nikt nie może zaprzeczyć temu, co było. To wspiera naszą pamięć jako zabezpieczoną i w każdej chwili wywoływalną wiedzę o faktach. Podobnie jak dysponujemy archiwami pewności własnego ja, zarejestrowanymi znakami naszego otoczenia i nas samych, znakami narodzin, ślubu, zawodu i śmierci. Są tam fotografie, przedmioty, listy. Ale czy można życie, a przede wszystkim takie życie, które w okrutny sposób zostało poniżone i unicestwione, jedynie za pomocą dokumentów przybliżyć zrozumieniu? Przybliżyć zrozumieniu oznaczałoby, przeszłość poddać uporządkowaniu, ukazać strukturę i przebieg grozy. Nauki historyczne uczyniły to. My czynimy podobnie, przed rozpoczęciem leczenia pacjentów. Jednak im bardziej tak postępujemy, tym bardziej tracimy z oczu pojedynczego człowieka, z *jego* pamięcią, z *jego* wyobrażeniami, z *jego* mitami. Używamy wspomnienia jako historii, utożsamiamy z nią, gdy bierzemy wspomnienie jako materiał przeszłości, który musi uporządkować teraźniejszość.

Siedzimy tu na Kazimierzu – Polacy. Niemcy, Izraelczycy – z własnymi wspomnieniami i ze wspomnieniami naszych rodziców. Ofiary -jedni, sprawcy - inni. Ale czy życiorysy dają się tak na stałe przypisać do jednej kategorii? I - jeśli takie przypisanie byłoby możliwe, czyż nie byłibyśmy wówczas postaciami, które jedynie grają na scenie historii?

II.

Maria Cechnicka mówiła kiedyś z wielkim naciskiem o *milczeniu*, które przenikało jej dzieciństwo i młodość. Milczenie tych, którzy przeżyli Holocaust, deportowanych, wypędzonych. Oraz milczenie o tym milczeniu. Zasadza się ono na próbie zapomnienia, aby móc dalej żyć. I nie ma w tym ani trochę eskapizmu, jak się dziś tak chętnie przypuszcza publicznie. Jorge Semprun pisze w swej książce „Pisarstwo albo życie”, dlaczego po zwolnieniu z Buchenwaldu nie mógł niczego napisać, dać żadnego świadectwa. *Chciał żyć*. Dał do zrozumienia, jak silnie mogą się spleść *pamięć* i zapomnienie aby – stopniowo – dojść do słowa. W ten sposób dopiero *możliwość* zapomnienia ożywia wspomnienie. Sempruna gnębi przy tym pytanie, czy przecierpiane doświadczenie może się zatracić w procesie pisania, utrwalania pamięci. Jest pewny, że zawsze wszystko można powiedzieć, ale nie zawsze od razu i nie wszystko na raz. Przede wszystkim jednak: *nikt nie wysłucha wszystkiego* i tylko nieliczni zrozumieją. To co się zdarzyło, przerasta ludzkie siły percepcji. Aby sobie z tym poradzić, Semprun używa przenikań, w swych opowiadaniach zbacza często z tematu. W ten sposób udaje mu się sprawić, że męka wspomnienia poprzez chwilowe przesunięcie w zapomnienie staje się do zniesienia. Czy ten zawrót głowy między pamiętaniem i zapomnieniem może wydać z siebie „zbiorową pamięć”, tak jak opisał to Maurice Halbwachs? Aby najpierw dotrzeć do wspomnienia, zdani jesteśmy na *drugiego człowieka*. On nam opowiada, co było. Tak może wspólna pamięć w rodzinie, w grupach stać się wspólnym – często zrytualizowanym – wspomnianiem. Także w narodach. Tylko jak daleko ono sięga? Czy nie zawiera w sobie znów *zapomnienia innych*? Zapomnienia tych, którym nie przydzielono pomników? „Pamięć narodu”, jeżeli istnieje, tworzy się z należącego wspomnienia i z chwilowego zapomnienia. Tylko one razem umożliwiają przyszłość. Ale to, o czym *musi* się pamiętać, a co także jest zapomnieniem, to, *czego już nie można naprawić*. To pozostanie – jako kwestia, która jest *poza przyszłością*. To utrzymywanie w terażniejszości – zaginionego, lecz będącego w ludzkiej mocy- jest dla mnie powodem, który nadaje sens „mitowi pamięci”. Lecz musi on się pogodzić z przepaścią, która otwiera zapomnienie, jeżeli nie chce skostnieć w pozbawionych sensu rytuałach. Pamięć pozbawiona luk nie ma nic do przekazania. Zamknięta w sobie, skazana jest na milczenie. Jednak my mamy *zobowiązania* w stosunku do przeszłości. Ten dług nosi w sobie stratę niespełnionego przyrzeczenia, porusza to, co domaga się prawa do naszej pamięci i zobowiązuje w ten sposób do przypomnienia, do zabrania głosu.

III.

Wdaliśmy się tu na Kazimierzu w ryzykowne spotkanie. Myślę przy tej okazji o sytuacji, która mnie przed ponad dwunastu laty po raz pierwszy sprowadziła do tego -jak się wówczas zdawało - całkowicie pozostawionemu procesowi niszczenia miejsca. Żegnaliśmy się akurat w teatrze „Groteska” z naszymi polskimi gospodarzami. Jeden z nich odezwał się pojednawczo: „Byliście tu, aby zobaczyć, co uczynili Wasi rodzice - my jesteśmy tu, aby poczuć, co wycierpieli nasi rodzice.” Wszyscy się zgodzili, ja również, w pierwszym momencie. Po chwili zdałem sobie sprawę i było to gorzkie – że właśnie zdradzam moich rodziców. Byli Niemcami, a przecież jednocześnie przez Niemców prześladowani, bo nie pasowali do nakazanego modelu wspólnoty, w której żyli. I nie byli jedynymi, którzy tego zaznali. Wtedy dopiero, w Polsce nauczyłem się żyć z tym rozdzwięciem. I myślę, że dałem mu zaowocować w pytaniach, których nie da się postawić, jeśli pozwala się dojść do głosu w sobie tylko jednej ze stron. W miejscu, gdzie tworzy się to, co nazywamy tożsamością, nie ma obszarów wolnych od wątpliwości i podejrzeń. Nigdy

nie jesteśmy pewni samych siebie. Gdyby nasze ja było niewzruszone i mocne, to my, psycholodzy i psychiatrzy, bylibyśmy zbędni. I odpowiedzialności brakowałyby jakiegokolwiek powodu, dla którego można by się do niej w trosce odwołać.

IV.

Przeszłego czasu nie da się przeżyć ponownie. Próby takie – a próbujemy tego wciąż od nowa, z niepewności, z ukrytego poczucia winy – mogą jedynie prowadzić do ciągle odnawiającego się uczucia „bycia dotkniętym”. To, co bezpowrotnie stracone, można jedynie uczcić stale zagrożoną pamięcią. Pamięcią, która *prze-*żywa przeszłość jako wciąż możliwą teraźniejszość prowadząc ją w ten sposób ku przyszłości (V. Jankelevitch). W naszej pracy staramy się w kruchych, często nieznośnych projektach bytu znaleźć sens i pomocnie towarzyszyć dalszemu życiu idąc po śladach tego sensu. Czy nie mogłaby także nas - Izraelczyków, Polaków, Niemców, z naszymi tak skrajnie różniącymi się od siebie splotami zachowanych wspomnień połączyć *jedna* nić sensu naszej historii? I czy nie byłoby pozytywne wysupłać te ukryte związki z kłębowiska znaczeń naszych pamięci? Jestem pewien, że jest to ważne. Ale będzie to wymagało czasu, ryzyka nieporozumień, a nawet zranień. I wymaga, abyśmy się spotkali, podjęli rozmowę, rozprawę, aby w ten sposób może jednak „w przeszłym rozniecić iskrę nadziei” (W. Benjamin).